

JACEK JOACHIM KRÓTKA PODRÓŻ



Jacek Joachim

KRÓTKA PODRÓŻ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-39-5

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1979

Projekt okładki: Justyna Niedzińska

Jacek Joachim, to pseudonim literacki Zbigniewa Kubikowskiego

Spis treści

[Spokojny sobotni wieczór](#)

[Sprawa rodzinna](#)

[Bridż](#)

Spokojny sobotni wieczór

1

Muszę przyznać, że pierwsza, krótka na szczęście, podróż własnym maluchem kosztowała mnie sporo zdrowia. Nie, nie myślę o prorocत्वach moich znajomych i przyjaciół, tych, którzy mieli skody, wartburgi, fiaty i fordys, i tych, którzy mieli bilety tramwajowe i piękną przyszłość w totolotku. Ich przestróg słuchałem jednym uchem, bo i jakże mogło być inaczej.

– Nie pozwolę! – grzmiał pewien historyk, zarazem zapalony automobilista. – Zrozum, bracie, kolana masz pod brodą, sprzęgło zbierasz po szosie, silnik w sam raz do suszarki, a blacha sypie się po pierwszym deszczu.

– No dobrze – zgodziłem się – ale rok temu chciałeś kupić malucha i mówiłeś, że jest zupełnie wygodny, silnik ma sprawdzony, a blacha lepsza od plastyku.

– Rok temu! – odpowiedział z urazą i dał nura pod używanego volkswagena, którego niedawno kupił i jak dotąd remontował.

Ale ostatecznie mnie przekonał kierowca naszej milicyjnej warszawy.

– Panie kapitanie – powiedział – gdzie jest napisane, że pan nie będziesz ten szczęściarz?

No i jechałem maluchem i słuchałem ze strachem przeraźliwych zgrzytów przy zmianie biegów i rosnącego stukotu, dźwięcznego i głębokiego; zatrzymałem samochód raz i drugi, obszedłem go w skupieniu dookoła, nie zobaczyłem niczego podejrzanego. Ale wystarczyło ruszyć, aby piekielny stukot zjawił się znowu. Za trzecim razem stanął przy mnie bosy, może ośmioletni chłopak.

– Niech pan domknie maskę – powiedział – bo będzie panu klekotać.

Wściekły domknąłem maskę i pojechałem. Już nic nie stukało.

Nic dziwnego, że pod domem Klemensa zatrzymałem się pełen mieszanych uczuć. Ale wystarczyło wysiąść, spojrzeć z zewnątrz na nowiutki samochód, aby dobre samopoczucie wróciło. Ostatecznie dojechałem.

Rozejrzałem się. Czas by już było na pierwszą samochodową rozmowę. („Kupiłeś?” – „Właśnie – odpowiem niedbale – ostatnie serie są zupełnie niezłe.” – „No i jak chodzi?” – „A wiesz, zupełnie dobrze. Jeszcze jest nie dotarty, ale...” i tak dalej.) Dokoła było jednak zupełnie pusto. Klemens mieszkał w dużej, ładnej willi, otoczonej sporym ogrodem, o dwadzieścia kilometrów od Warszawy. Nie, oczywiście jej nie kupił, był dyrektorem niewielkiego muzeum, a kilka większych prac z zakresu historii sztuki pozwoliło mu zaledwie na kupno samochodu, dzięki któremu mógł zamieszkać na stałe w domu odziedziczonym po stryju i prowadzić życie wcale wygodne, choć bynajmniej nie luksusowe.

Z ostrożnością nowicjusza zamknąłem samochód na klucz i wąskim, starannie utrzymanym chodniczkiem obszedłem willę. Od strony ogrodu płaskie, półkoliste stopnie prowadziły na obszerny taras, ale nie wszedłem tam, bo z głębi ogrodu dobiegły mnie zmieszane głosy i głucho uderzenia piłki.

Oczywiście, grali w siatkówkę. Klemens w szortach i siatkowej koszulce, dwie młode kobiety w barwnych, letnich sukienkach, kilku mężczyzn, wszyscy rozkrzyczani, zakurzeni, na pół przytomni. Nie, nie było tu z kim mówić o samochodach.

– No, jak się jechało? – zawołał Klemens. Podniósł palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. – Przerwa! Osiem sześć dla was. Nasz serw. Jacek dojdzie do nas, będzie nareszcie czwórka przeciw czwórce. Cześć.

Podbiegł do mnie z wyciągniętą ręką. Był szczupły, wysoki, gdyby nie siwe skronie, wyglądałby na studenta szczególnie teraz, w tym stroju.

– No co, przyjechałeś maluchem? Jeszcze się nie rozsypał?
Oczywiście, on miał dużego fiata.

– Spóźniłem się trochę – powiedziałem – trzy razy pomagałem facetom na szosie zbierać duże fiaty.

– Dobra, dobra – roześmiał się. – Pogadamy za miesiąc.

– Nie odprzedam – powiedziałem twardo – ani za miesiąc, ani za pół roku.

– Oszalał – westchnął. – Czekać, nie znacie się. Pozwólcie, Jacek Joachim. Jesteśmy w komplecie.

– To pan – mruknęła szczupła szatynka o chłopięcej urodzie. – Myślałam, że pan jest starszy.

– Ja nie – uśmiechnęła się duża, postawna brunetka o wąskich, zielonych oczach – Klemens mi pana opisywał.

– Hanka jest kustoszem działu archeologii – mówił Klemens wskazując na szatynkę. – Skończyła studia ileś lat temu i chce wyjechać do Egiptu. Ciągłe nie może uwierzyć, że z naszego muzeum wyjeżdża się najwyżej na Wolin.

– To zmienię muzeum – wrzuciła ramionami – albo dyrektora.

– No, no – obruszył się Klemens. – Nie tak jawnie.

– Jak cię wygryzą, będziesz wiedział, kto – roześmiał się krępy, piegowaty blondyn o pooranej zmarszczkami twarzy. Ale wszyscy milczeli i jego śmiech urwał się nagle, na nienaturalnie wysokiej nucie.

Klemens szybko dokończył prezentacji. Druga z kobiet, ta dorodna z zielonymi oczami, miała na imię Ludmiła i była żoną piegowatego dowcipnisia. Teraz dopiero go sobie przypomniałem, widywałem go u Klemensa w muzeum. Tak, to on. Nazywał się Wąski, zrobił niedawno doktorat. W muzeum nazywano go oczywiście Niewąski. Był tam jeszcze szkolny kolega Klemensa, obecnie, jak się okazało, docent matematyki, a nazywał się Bajbun, młody asystent muzeum o długich włosach, który podał mi rękę, patrząc w inną stronę, i mruknął niewyraźnie: Stanisławski lub coś podobnego – wreszcie spokojny starszy pan, piastujący jakieś wysokie stanowisko w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego.

– To Rysio Kitowicz – powiedział o nim Klemens. – Jak z nim będziesz dobrze, zawsze ci wszystko załatwi.

– Oczywiście w granicach przepisów – zastrzegł się szybko Kitowicz.

A na koniec z zarośli wyłoniła się postać przedziwna: bardzo wysoki i chudy starszy pan z bujnymi wąsami i w maciejówce. Podszedł do mnie sprężystym krokiem.

– Jestem wujem Klemensa – wyjaśnił wyciągając rękę. – Nazywam się Pacholak. Słyszałem o panu.

I ja o nim słyszałem. Starszy pan był niegdyś rotmistrzem ułanów i pisał pamiętniki. Klemens opowiadał o nim dużo i często.

– Chętnie bym się czegoś napiła – powiedziała Hanka – i przebrała. W sukience nigdy nie przyjmę ścięcia Klemensa.

– Bez sukienki też nie przyjmiesz – powiedział Klemens – ale myśl jest dobra. Zrobimy przerwę? Osiem sześć dla was, nasz serw.

– Zrobię wam wody z sokiem i lodem – oświadczyła pani Ludmiła Wąska.

I poszliśmy wszyscy w kierunku domu. Panie przodem, z głowami zwróconymi ku sobie, za nimi bezładną gromadą mężczyźni, na końcu Klemens i ja. Rotmistrz Pacholak, uzbrojony w wielki kij zakończony pętlą i siatką, ruszył między drzewa sadu, na jabłka.

– Cieszę się, że przyjechałeś – powiedział Klemens.

– I ja się cieszę. Weekend wymarzony. Pogoda i ten twój dom, przecież tu tylko ptaki słyszą. Właściwie można ci zazdrościć.

– Myślisz... – powiedział wolno. – No tak, można mi zazdrościć. Cieszę się, że odpoczniesz, zresztą wiesz, że mój dom zawsze stał i stoi dla ciebie otworem. Tylko tym razem chcę cię prosić o pomoc. I dlatego tak się cieszę, że udało ci się wyrwać.

– O pomoc? – zdziwiłem się. – Zapraszałeś mnie na spokojny sobotni wieczór.

– O pomoc. W ciężkiej i trudnej sprawie. Nie odmówisz mi?

– Co znowu! Wiesz, że możesz na mnie liczyć.

– Wiem. Więc przyjdiesz do mnie wieczorem, dobrze? Zaparzę dobrej kawy, pogadamy.

Weszliśmy na taras. Pani Ludmiła znikła w obszernych drzwiach prowadzących w głąb domu, Klemens pokręcił się chwilę wśród gości i poszedł za nią. Oparłem się o kamienną balustradę, zapaliłem papierosa.

– Klemens opowiadał nam o panu – powiedział docent Bajbun przecierając nerwowo okulary. – Muszę się panu przyznać, że bardzo chętnie czytuję powieści kryminalne. Ja, proszę pana, zajmuję się teorią pościgu. Otóż...

– Ferdek, daj panu spokój – powiedziała Hanka. – Pan tu przyjechał na odpoczynek, prawda, panie Jacku? Bo chyba nie służbowo?

– Chyba nie.

– Pan pierwszy raz u Klemensa?

– Nie, skądże. Przyjeżdżam tu od czasu do czasu od dobrych dziesięciu lat.

– To jakim cudem jeszcze się nie spotkaliśmy?

– A tego to już nie wiem. Inna rzecz, że wpadałem tu na krótko o najrozmaitszych porach.

– No właśnie. Ja służę na dworze tego tyrana od dwu lat.

I zużywamy już drugą piłkę do siatkówki.

– Haneczko – powiedział ze zniecierpliwieniem doktor Wąski – obiecałaś, że mi pomożesz nazbierać jabłek na podwieczorek.

– Dobrze, dobrze – zachnęła się. – Stary rotmistrz już nazbierał na wszystkie podwieczorki do końca sezonu.

– Rotmistrz składa je w swojej szopce – nie ustępował Wąski. – No chodźmy, chodźmy. Szkoda czasu.

Wzruszyła ramionami, ale wstała i po chwili znikła w gęstym sadzie. Widzieliśmy tylko z daleka przesuwającą się i znikającą za pniami drzew kolorową sukienkę Hanka. Ale wydawało mi się, że nie zbiera jabłek. Od czasu do czasu przystawała z odwróconą głową, potem zjawiała się sylwetka Wąskiego, rozmawiali, a może kłócili się.

– Dużo nie nazbierają – mruknął Stanisławski. Był niski, barczysty, twarz miał bladą, nieobecną.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Hm... – chrząknął Bajbun – jak by tu panu powiedzieć. Pan doktor Wąski do pewnego stopnia gustuje w towarzystwie Hanka...

– W wysokim stopniu! – roześmiał się zgryźliwie Stanisławski. – Nie, niech pan nie myśli, że robimy plotki za plecami – dodał patrząc na mnie – ale całe muzeum o nich wie, więc dlaczego pan ma sam dochodzić tych rewelacji?

– A pani Ludmiła? – spytałem lekko.

– Spojrzeli po sobie nie tyle z zakłopotaniem, ile raczej ze zdziwieniem. Bajbun chrząknął po raz drugi, wyciągnął papierosnicę, poczęstował nas, ale okazało się, że w jego pudełku kołaczki tylko jedna wypalona zapałka. Klepaliśmy się chwilę po kieszeniach, bez skutku.

– Przyniosę z kuchni – powiedziałem.

Wszedłem do domu. W dużym, staromodnie urządzonej ni to hallu, ni to salonie, było chłodno, przez szpary w kolorowych zasłonach sączyło się gęste światło letniego popołudnia.

Wąskie, wysokie drzwi prowadziły na ciemny korytarzyk, w głębi majaczył jasny prostokąt. Tam była kuchnia. Puszysty chodnik tłumiał moje kroki. Szedłem szybko, byłem o pół kroku od drzwi, kiedy posłyszałem głęboki głos pani Ludmiły:

– Moje biedactwo...

Nie zdążyłem się cofnąć. Pani Ludmiła, z ramionami na szyi Klemensa, stała tuż przy przeciwległej ścianie, odwrócona do mnie plecami. Ale zobaczył mnie Klemens, oswobodził się łagodnie z objęć żony niewiernego doktora.

– Już idziemy – powiedział spokojnie. – Pewnie jesteście spragnieni.

Pani Ludmiła Wąska chwyciła tacę z przygotowanymi już szklankami, pełnymi wiśniowego napoju, i wybiegła w milczeniu, kołysząc biodrami.

– Przyszedłem po zapalki – mruknąłem.

– Hm, tak – zakręcił się Klemens. – Proszę cię, są... Hm, tak...

– Chrząkasz jak docent Bajbun – roześmiałem się.

– Do pewnego stopnia – mrugnął porozumiewawczo. – Widzisz, dawno się nie widzieliśmy...

– A tak, dobre pół roku.

– No właśnie. Co to ty chciałeś? Aha, zapalki, już masz. Chodźmy. Porozmawiamy wieczorem.

Przeciągnął ręką po czole pokrytym kropelkami potu. Mimo pozorów wesołości oczy miał podkrążone, zmęczone, a jego wąskie usta ścięte były w nienaturalnym grymasie.

Na tarasie byli już wszyscy. Wypiliśmy szybko zimną wodę z sokiem i tającymi kostkami lodu i ruszyliśmy bezładną gromadą na boisko. Klemens grał nieuważnie, za to Hanka była w formie i mimo ryzykanckich ścięć Wąskiego, który notabene ze sztubacką pasją celował właśnie w nią, wygraliśmy trzy kolejne sety.

– Jesteście skończeni – oświadczyłem. – Nie mamy przeciwnika.

– Miałem pecha – skarżył się ze złością Wąski – nic mi nie wychodziło.

– Nie tłumacz się – wołała Hanka. – Różnica dwu klas.

– Ale przedtem przegrywaliście – argumentował rozpaczliwie Bajbun.

– Doszedł do was Joachim – poparł go Stanisławski.

– A czy ja coś ujmuję Jackowi? – zdziwiła się Hanka. – Przy nim zabłysły nasze talenty, o!

– Dosyć – zdecydowała pani Ludmiła Wąska. – Patrzcie, już prawie siódma. Chodźmy się trochę ogarnąć, a potem pomyślimy o kolacji.

– Kwaśne mleko! – wrzasnął przeraźliwie rotmistrz Pacholak, wyskakując zza kępy bzów. – Kwaśne mleko jest najzdrowsze! Przyniosę z piwniczki!

– Niechże wujek nie straszy ludzi! – zawołał Klemens. – A swoją drogą, pomysł jest dobry.

– Będziemy pili kwaśne mleko – nuciła Hanka idąc tanecznym krokiem w stronę tarasu. – Będziemy pili kwaśne mleko...

– Wstaw samochód do garażu – rzucił przechodząc Klemens. – Jakoś się pomieścimy.

– Nareszcie – odetchnąłem – nareszcie ktoś wspomniał o moim samochodzie.

– Kupił pan samochód? – zainteresował się Stanisławski. I już mnie nie odstępował. Byłem mu prawdziwie wdzięczny, nareszcie mogłem z kimś pomówić o wadach, a przede wszystkim zaletach malucha. Wstawiliśmy go do garażu, wytarłem jeszcze szmatą maskę, rozcierając kurz w podłużne smugi. Zdaje się, że nie tak się czyści karoserię.

– Ja, proszę pana, także myślę o kupnie samochodu – mówił Stanisławski – ale wie pan zapewne co nieco o zarobkach pracowników naukowych. Dawno bym już rzucił to muzeum, czekam tylko, kiedy zrobię doktorat. Ale co tam. Szczerze mówiąc, po historii sztuki składałem egzamin na reżyserię filmową, no i oblałem.

– Ale chyba pracuje się panu przyjemnie – powiedziałem zdawkowo.

Wzruszył ramionami.

– Co tu mówić o przyjemnej pracy – mruknął. – Jeden Klemens rzeczywiście zna się na robocie i ją lubi. No i coś robi. A reszta?

– No jakże – powiedziałem – pani Hanka...

– Hanka marzy o zagranicznych stypendiach – powiedział ze złością – a jeżeli jeszcze o czymś, to w każdym razie nie ma to nic wspólnego z pracą w muzeum. A jak Wąski zrobił doktorat, to ja nie wiem. Ja bym mu za tę pracę nie dał magisterium. Siedzi się, proszę pana, latami i kataloguje zbiory. Nawieźli tego z zamków i zameczków, dworów i dworeczków do nagłej cholery. Wszystkie piwnice zawałone skrzyniami, jest robota do końca życia. Na-u-ko-wa! Niech to jasny szlag trafi.

Tymczasem zamknęliśmy garaż i wracaliśmy do towarzystwa. Tuż przed wejściem na taras zastąpił nam drogę rotmistrz Pacholak i Stanisławski umilkł.

– A ja, kochany panie, mleczko już przyniosłem – zawołał rotmistrz. – Zimne, a gęste, że choć nożem ty kraj. Ot, przyjemność. U nas, kochany panie, mleko my w kamiennych stakanach stawiali...

Obejrzałem się, Stanisławski znikł. Westchnąłem, a rotmistrz ujął mnie za guzik i mówił dalej:

– Ot, panie, na polowanko się jechało, niewielkie, pół dnia, na zajączki. Major ci do mnie, kochany panie, zjechał, ja do mojego wachmistrza mówię, zadbaj ty, kochanieńki, żeby mleczko za powrotem było. I jedziemy, kochany panie, i major wachmistrza widzi, i trach, panie, z dubeltówki...

– Wachmistrza? – przeraziłem się.

– Nie, panie kochany, zajączka. A wachmistrz butelki niesie, dobraż wódka była, przepalana, jaż ci mleczko kazał nagotować, a on taajest, pajee tmistrzu! – stuknął obcasami – mleczko po wódce najlepiej smakuje!

I nagle, bez przejść, rozejrzawszy się tylko dokoła, dodał tym samym, gawędziarskim tonem:

– A i dobrze, że pan przyjechał, Klemens o panu mi mówił. Tych tu ja znam, panie kochany, za żadnego, panie, grosza nie dam. Może ja staromodny, ale mnie się to nie podoba. Nie podoba! – podniósł rękę. – Nic dobrego tu się nie dzieje! Pomów pan z Klemensem, kochanieńki. Pomów pan.

Odwrócił się i znikł między drzewami.

– Panie Jacku! – zawołała z tarasu Hanka – Klemens pana szuka. I kto mi chleb pokraje?

Wbiegłem po schodach i wpadłem na Klemensa, wychodził właśnie z hallu.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju – powiedział. – Zmieściłeś wóz? Nie obieś mojego? Chcesz się pewnie umyć.

– Zmieściłem, nie obiełem, chcę.

– Hanka, zostaw, Ludmiła tym się zajmie.

– Daj odetchnąć tej swojej Ludmile.

– Jestem na usługi! – zawołał Wąski. Umyty, uczesany, w szarym garniturze z tropiku, śnieżnobiałej koszuli, z pięknie zawiązanym krawatem.

– Kroić chleb! – rozkazała Hanka.

Klemens zaprowadził mnie na piętro.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI